

Miejsce Piastowe — Najmniejsi przy pracy.

NASZE ŻYCIE

NUMER 6. SIERPIEŃ ROK 1936.

HASŁO MŁODYCH!

Im skromniejszym coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opinjach tem większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody. — Jeśliby zaś w jakiej twojej sprawie przebijała się pycha, lub wysokie o sobie mniemanie, natenczas uderz się w piersi i zawołaj: Zgubiony jestem. — Bież co rychlej do umiarkowańszego od ciebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do ukrycia twoich niedoskonałości.

JÓZEF JEŻOWSKI
filareta.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca”, Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII. Nr. 6.

SIERPIEŃ

1 9 3 6.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"
POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. Pawlikowice p. Wieliczka.

Konto czekowe: P. K. O. 404.854.

Telefon 54.

33 lat temu

Przeszczepiona na grunt Polski idea wielkiego wychowawcy św. Jana Bosco, zapuszczała coraz głębiej korzenie. Miejsce Piastowe, kolebka polskich Michaelitów, była tem ziarnem, z którego miały się zrodzić inne zakłady bezdomnych. Długo dojrzewał owoc, aż, wydawszy nasienie, mógł być przeniesiony na inne miejsce.

I ks. Bronisław Markiewicz doczekał się tej szczęśliwej chwili, gdy dzieło Jego miast upaść, coraz bardziej rozchylało swe konary.

— — — — — —

„Było to w roku 1903 — jak opowiada jeden z pierwszych wychowawców pawlikowickich — wczesnym rankiem 2 sierpnia obecny dyrektor w M. P. ks. Jan Latusek w towarzystwie 25 młodzieńców, którzy mieli stać się kamieniem węgielnym tej nowej placówki, przybyli do Pawlikowic. Gdy grupa zbliżała się do miejsca przeznaczenia, jedna z okolicznych wieśniaczek zobaczywszy niewidzianych przybyszów, poczęła zwoływać sąsiadki mówiąc, że idą jacyś komedjanci.

Epizod ten rozweselił wszystkich. Okazało się jednak, że kobiecina miała dużo racji. Po przybyciu bowiem na miejsce, po posiłku, krótkim wypoczynku i pobieżnym rozglądnięciu się na nowej placówce, nastąpił podział ról zupełnie tak jak w teatrze.

Jeden otrzymał obowiązek kucharza, inny szewca, krawca, stolarza, ślusarza, ogrodnika i t. p. Wprawdzie niejednemu brakowało potrzebnych wiadomości, zapał jednak zastępował wszystko. Trzeba dodać, że Pawlikowice przedstawiały obraz tak ponury i opustoszały, że trzeba było samozaparcia, ażeby nie zejść z raz obranej drogi.

Szczytem opustoszenia były budynki, które skutkiem poniszczonych dachów bliskiemi były ruiny. W jednym z budynków, w którym obecnie mieszczą się sypialnie wychowanków stała na pół metra, a w piwnicach na 2 metry, brudna, cuchnąca woda. W takich to opustoszałych ścianach pokrytych dziurawym dachem rozpoczęło się życie zakładowe.

Nie było ono łatwem, brakowało wszystkiego wszystkim. Nie miał ani rzemieślnik narzędzia, ani kucharz garnka, ani gospodarz inwentarza, a stan kasy rozpoczął swą wegetację od zera. Po miesiącu życie zaczęło bujniej tętnieć. Pierwszym goś-

ciem zakładowym był egzekutor podatkowy, który przyszedł upomnieć się o należytość wynoszącą 2.880 koron.

„O ironjo“... cały majątek ruchomy nie przedstawiał większej wartości nad 400 koron. Nie było więc co egzekwować. Wrażenie tych pierwszych odwiedzin nie przeminęło jednak bez znaczenia. Stąd i u sąsiadów wzbudzały takie odwiedziny niedowierzania, a często można było spotkać się ze zdaniem: „Jak sobie przyszli, tak sobie i pójdą“......

— — — — — —

33 — lat... minęło, a Pawlikowice stały się ośrodkiem kulturalno-wychowawczym. Życie płynie dziś wartkim potokiem, a zakład zaopatrzony jest nawet w nowoczesne urządzenia. I ci, którzy dziś korzystają z zakładu muszą schylić głowę przed zakładającymi tu kamień węgielny. Ci ostatni wpatrzeni w postać Ojca Założyciela nie znali co trud, co znój.

Włast.

»Weekend«, czyli wiatry

Gdy tylko słońce zaczyna solennie prażyć i nadejdą wakacyjne dni, kto tylko ma ogrzane kieszenie, jedzie na letni wypoczynek. Ładuje się walizy, krępuje tłomoczki — naród ciągnie na „wiatry“.

Jest to nieodzowne dla nabrania sil, zwłaszcza po mozolnej pracy umysłowej całych dziesięciu pełnych zmian księżyca.

Weekendowe dni istnieją i u nas w naszych rozkosznych Pawlikowicach. Każdy, dzień — to „wiatry“. Od świtu dzwonią kosy na łanach, zgiełk furmanów na gospodarstwie, w domu niema nikogo. Formalnie niema komu pozamiatać korytarzy. Niechby też wpadła wizytacja... Na szczęście wizytacja z pewnością na „wiatrach“.

Wyszedłem i ja nieco się przewietrzyć, obserwuję naszych kosiarzy. Takim przecież mamusie kupują na wiatrach czereśnie. Zwykle są bladzi, anemiczni i cierpią na katar żołądka i ból zębów. Nasi są jak wiśnie, a innego pragnienia prócz krynicznej wody w czasie upału przy kośbie nie mają. Chłopcy... Ładne mi chłopcy, jak tu pod ich mięśniami kładą się całe połacie zboża. Skryłem się w sąsiednim lasku, aby mię nie dostrzegli, bo wtedy jużbym się nie wymigał od koszenia.

Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus — zaśpiewał któryś. Poznałem go po głosie, on zawsze łacinę kosił i teraz też nie daje jej spokoju. A ten mały, ostatni co robi powrósła nuci sobie „o mój aniele złoty, ze samych niebios przychodniu“...

— „chrast, chrast“ słaniają się podcięte kłosy. Nie wytrzymałem dłużej... — Szczęść Boże.

— Daj, daj, Boże... Dziękujemy... Witamy... Prosimy.

W tej chwili staje przy mnie 15-letni Goljat i wręcza kosisko. Wszyscy czekają na ten moment, kiedy podetnę i jak podetnę, a mnie dech w piersiach

zamarł, bo czułem, że wzdycham, że sobie podetnę przedewszystkiem drżące ze strachu podnóża. Podciąłem — wierzcie mi, że zebrałem się w sobie i podciąłem. — Głośny radosny śmiech małych kosiarzy, oznajmił mi, że podciąłem źle. Tak. Tak, podciąłem w ten sposób, że pół kosy zanurzyło się w ziemi — Ha! Ha! Ha!

Zaczęli mię uczyć. Było mi

— Kierunek Zakład, pluton marsz...

— „Już w gruzach leżą“ popłynęła piosenka przez wieś, a ludzie patrzą i mówią, że chłopcy śpiewają... Ładne mi chłopcy — patrz na armję żytnich mendli — to chłopięce chłopcy.

Przyszli przez okno ks. dyrektora.

— Na cześć ks. dyrektora hip hip hurrah! hip hip hurrah!



Pawlikowice — Kosiarze.

nieco wstyd, taki stary chłop. Jakoś tam się kosiło dalej. Na podwieczorek przyniesiono kawę i chleb smarowany. (Mnie dodatkowo musiał infirmarz smarować wieczorem plecy i stawiać bańki.)

Słoneczko zaszło, najstarszy kosiarz jeden tylko wyjątek naprawdę stary ‚podoficer rezerwy krzyczy na cały głos.:

„dwuszeregu zbiórka“. Jakoś to nie szło szybko. — Rozejść się“. I znów stanęli w dwuszeregu, zrobili czwórki.

hurrah! hurrah! hurrah! Ktoś inny byłby się przeraził uzbrojonego w kosy tłumu n. p. ja, ks. dyrektor zaś wysypał przez okno kosz gruszek i patrzał na odchodzącą wesoło gromadę, patrzał wesoło, bo wiedział, że dużo zrobili.

Ale są i dni wolne od pracy: niedziele i święta. Wtedy to naprawdę idziemy na wiatry... idziemy na wycieczki. Przypominam sobie jak to gdzieindziej na wycieczki idzie się z całym bagażem kanapek, ciastek, cze-

kolad, cukru, soku i t. d. Pawlikowice idą na wycieczkę z muzyką, z pieśnią, z miną zuchowatą, dzielną. Gdzie tylko ukaże się Zakład, zbiera się tłum, patrzy i napatrzeć się nie może — dziwni chłopcy. Pewnie, że dziwni, idź człeku z nimi kosić dopiero się zdziwisz...

Kiedyindziej znów festyn w parku! Ach!... koło szczęścia, loterje, strzelanie, wędki, naród gra, orkiestra gra, na scenie wieczór grają teatrum, i gdyby tak ktoś nieświadom raczy zagościć na jeden taki dzień, powiedziałby: „ci nic nie robią, tylko grają". Tak... przyjdź człeku z kosą i spróbuj się z nimi jak ja, będziesz jak ja płacił po parę złotych w aptece i nowennę będziesz mówił i na mszę świętą dasz — wtedy zobaczysz czy oni tylko grają...

Nie chciałbym, aby ktokolwiek z czytelników nabrał takiego przekonania, że tu istny raj, bez trosk i łez, jedyne miejsce spokojne na ziemi. Tak nie jest. Każdy dzień taki jest w rzeczy samej dniem ciężkim, z pewnością nie jeden wolałby leżeć na plaży i pić lemonjadę, lub na leżaku kosztować wiśnie, niż pracować ciężko w upalny dzień. Taki stan rzeczy osiąga się tylko przy stosowaniu specjalnej metody pedagogicznej, przy utrzymywaniu stale pewnej atmosfery, która jest specyficzną cechą Zakładów ks. Bronisława Markiewicza.

Atmosfera ta tworzy się całego szeregu chwytów wychowawczych, rzeźbiących młodych ludzi, a maksymą jej praca, która nie hańbi. Wychowanek wyzbywa się chorobliwego marzycielstwa, wyrywa się mu z duszy chwasty nieuzasadnionych aspiracyj, zaprawia się do ciężkiego borykania się z życiem, on nie będzie czekał na los, ale go złapie za bary, chociażby koło jego fortuny było o dwóch sprychach, on na niem pojedzie, będzie naprawiał i nie wykolei się.

Najtragiczniejszym w naszem wychowaniu jest ów moment, mama koniecznie sobie umyśli, aby Ziutek był dyplomatą. Ziutek od najmłodszych lat zżyje się z tą myślą zupełnie, on, którego pociąga niezmiernie motor spalinowy, on ma być dyplomatą. I mama prowadzi go do celu po napoleońsku. Wydano oszczędności, poszedł ślubny ojcowski frak, tuzin korepetytorów zachorowało na suchoty, mama ma nerwicę, siostra anemję, profesorzy malum necessarium — konieczne zło, którego należy się pozbyć.

W rezultacie mama potrafi ze wszystkimi profesorami „pomówić", z ojcem pomówi, córce przedstawi, krewnych przekona — i mama została dyplomatką, a syn, syn dojrzał, przejrzał i jeśli ma olej w głowie będzie montował radjodbiorniki i chodził na ryby, a jeśli osioł będzie chodził do kina, czytał książki, będzie się czuł źle i trzeba go koniecznie posłać na weekend — na wiatry...

Wiatry, mówi się na wiatry, robi się ludzi z wiatrem, a tu trzeba ich przygotować pod wiatr i na burzę, bo jest ogólna mizerja.

Tak, kosiarze z Pawlikowic, jestem Wam wdzięczny, że umiem kosić, a Wy też dziękuj-

cie swym wychowawcom, że Was uczą kosić, orać, siać, zamiatać, myć, żywić konie, bydło, robić buty, ubrania, szafy, łóżka, noże, kotły, zamki, kuć konie, bo to prócz łaciny, niemieckiego, czy historji może się przydać.

Poza tem wytrzymujecie równie dobrze gorąco, jak zimno, byle tylko z humorem, a wesoło, dziarsko. Bądźcie pewni, że życie jest twarde i tylko niektórzy mogą sobie pozwolić na „wiatry“, inni muszą iść pod wiatr, aby dojść do mety. **A. W.**



Pawlikowice — Kucharzy sześć a niema co...

Nasze ilustracje

„Wakacje“. „Wakacje“.

Już drugi miesiąc tych słonecznych, oczekiwanych cały rok, dni wakacyjnych.

— Gdzieś nad sinem, polskim morzem, gdzie w przelocie białe mewy, głaszczą skrzydłem, spienione fale, gdzie polskie parowce z warkotem prują bezdenne głębie...

— Gdzieś na skalnem Podhalu, granitowych naszych Tatr — spiętrzonych, zimnych i potężnych — zabawiacie się nasi rówieśnicy szkolni, nabieracie sił do dalszej drogi przez życie. Ale nie wszystkim jednakowo przyjemnym jest los.

Wielu z pośród nas, nie otrzymało kąpieli w polskiem morzu — wielu nie miało tego szczęścia, pełną piersią odetchnąć, zimnem górskiem powietrzem i spojrzeć z miłością na ukochane Tatry...

Tutaj w Zakładzie spędzamy wakacje w twardej i znojnej pracy. Matki i ojca większość już nie ma, nie możemy sobie pozwolić na wyjazd. Żyjemy tu zadarmo, sami więc pracujemy na siebie, zwłaszcza teraz w czasie wakacji, wywdzięczając się pracą za pobieraną naukę.

Ale nasza praca, choć ciężka, jakże jednak przyjemna i wesoła. Proszę spojrzeć na tych zawadjackich rolników (str. 139), przy oborywaniu buraków. Czyż słońce i powietrze mniej im przyjacielskie, niż wam? O ręczę, że pełniejszą piersią oddycha ten z podniesionym batem, że weselej patrzy na życie, ten milusiński, prowadzący konia — niż wy koledzy, tam gdzieś, na wywczasach.

— — — — — —

Czyż malo humoru zawiera ta fotografja z nierogacizną? (str. 131). Takie dwie poważne figury, po rannej toalecie, obmyte, wyszorowane, spieszą na śniadanie; jest ich u nas więcej i większych, lub mniejszych. A z jaką powagą nasi ministrowie dokonywują swych czynności. Zwlaszcza ten pierwszy na lewo, to nie byle kto, już nie daleko matury. Podczas roku szkolnego skandował Owidjusza i wczuwał się w sielanki naszych klasyków, a teraz — z humorem świnki pasie (w życiu się wszystko przyda).

— — — — — —

Wielu z mieszczuchów myśli może, że mleko krowa daje, gdy się ją ciągnie za ogon, tymczasem nie tak jest. Nasi gimnazjaliści i to wam najlepiej pokażą, (str. 129).

Mówią, że gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść, u nas jest ich nawet więcej (ale kucharzy), jednak zawsze mamy co jeść. — A jak smakuje, gdy własny kolega zmajstruje ci obiad? (str. 125).

— — — — — —

Sami również pierzemy i suszymy bieliznę (str. 137), jak zawodowe praczki, gdy pracz czasem zbyt energicznie wykręca bieliznę, powstaje tyle dziur, że niewiadomo gdzie nogę czy rękę wsadzić.

— — — — — —

Zapytam się teraz co lepiej smakuje, czy suchy kawałek czarnego chleba po pracy na świeżem powietrzu, czy różne przysmaki spożywane wśród nudów i bezczynności, wśród tysiącznych zgryzot i zmartwień? U nas jest na to odpowiedź. A jak przyjemnie potem spędzić wolny czas na sporcie i zabawie, czy to przy siatkówce, (str. 133), czy przy nożnej piłce. Jesteśmy uniwersalistami, nie ustępujemy nikomu w niczem, chyba w złem. Nawet w piłce nożnej górujemy nad okolicznemi drużynami. Nasz zespół K. S. „V i c t o r i a" odnosi raz poraz zwycięstwa — szkoda tylko, że jeszcze nie ma odpowiednich mundurków.

Swojak.



Z przed dwudziestu kilku laty

(Wspomnienia z przeżyć w Zakładzie w Miejscu Piastowem)

I.

„Jeszcze Polska nie zginęła".

Przed dwudziestu laty — dopiero dwudziestu — a jednak tak już dawno, bo jeszcze w tamtej epoce, przed wojną światową.

Gdy byłem małym chłopcem, słyszałem, że ktoś kiedyś widział na niebie trzy trumny: z jednej przelewała się woda, z drugiej kłęby ognia buchały, a z trzeciej wypływała rzeka krwi. — Aluzja to do lat ostatnich przed wojną światową. Były to lata wielkich wylewów rzek, pożarów. Rok zaś 1914 trzecia trumna — to wybuch wojny światowej.

Właśnie z owych czasów, w których miljony mężczyzn opiętych zostało w mundury, miljony bagnetów zaiskrzyło złowrogo, a tysiące armat wychyliło swe paszcze, by plunąć na świat — kreślę parę wspomnień przeżytych w Zakładzie w Miejscu Piastowem.

Czy oświetlenie niektórych zdarzeń, które podam, będzie całkiem prawdziwe, nie ręczę. Oświetlam je tak, jak myśmy wówczas młodzi — je rozumieli i osądzali. Zresztą, sądzę, odstępstw od prawdy nie będzie.

. . . .

Rok 1914. — Wiosna przepiękna, urodzaje niezwykłe. Zresztą zwyczajny rok, taki przytulny, jasny rok „przedwojenny" jakby może ktoś go nazwał.

My w Zakładzie jednak żyliśmy pewną gorączką. Pomijam biedę, niedostatek, (ten za-



Pawlikowice — Orkiestra ćwiczy w parku.

wsze był, jest i będzie). Gorączka ta z innego źródla wypływała. Czekaliśmy Ks. Michułki z Ameryki. Miał on objąć ster Towarzystwa „Powściągliwość i Praca".

Mówiono nam o ks. Michułce wiele, co niedzielę. Serca więc nasze „urobiły" się dla niego. Zdawal nam się jakiś bardzo dobry, jakiś taki jak Ks. Markiewicz. Czekaliśmy więc bardzo niecierpliwie. — Aż dowiadujemy się, wyjechal z Ameryki „już jest w Europie" i brama triumfalna i lampa gazowa ozdobiły nasze podwórze. I wreszcie — a było to w nocy przyjechał. Rozstawione czaty daly gwizdkiem znać, gdy nadjeżdżał, orkiestra odegrała marsza powitalnego, deklamacje, mowy etc.

Ks. Michułka wówczas na owe powitania odpowiedział swoim miłym głosem i uśmiechem, że nie spodziewał się takiego przyjęcia,boć to noc. Słysząc gwizdek myślał, że to na niego zamach. Nawiązał do zamachu w Sarajewie. (Ks. Michułka przyjechał w parę dni po zabójstwie arcyksięcia austryjackiego w Sarajewie, co bylo powodem wybuchu wojny światowej) a stąd o możliwości wojny. Nadmienił, że może to będzie owa straszna wojna, którą ks. Markiewicz przepowiedział.

Od tego czasu wypadki w Zakładzie potoczyły się innym torem. O wojnie coraz więcej mówiono. — I wreszcie mobilizacja. — Małośmy wtedy wojnę rozumieli. Widzieliśmy ruch gorączkowy. Asystenci, kierownicy warsztatów poszli pod broń. Cieszyliśmy się — sam nie wiem dlaczego. — Poraz pierwszy widzieliśmy setki aut ciężarowych, wiozących amunicję i żywność do Przemyśla. Ze szczerym entuzjazmem dawaliśmy szoferom owoce. Przypatrywaliśmy się kolumnom wojsk maszerujących, nadstawialiśmy uszy na wszystkie strony, by coś się dowiedzieć co słychać na świecie, czy już się biją, kto zwycięża i t. d.

Życie w Zakładzie zrazu mało się zmieniło. — Powoli jednak nastawiliśmy się wojennie. Coraz więcej wspominaliśmy Polskę, mówili o Legjonach, dochodzily nas wieści o Piłsudskim, ale nic pewnego, niczego zaspokajającego naszą ciekawość dowiedzieć się nie mogliśmy.

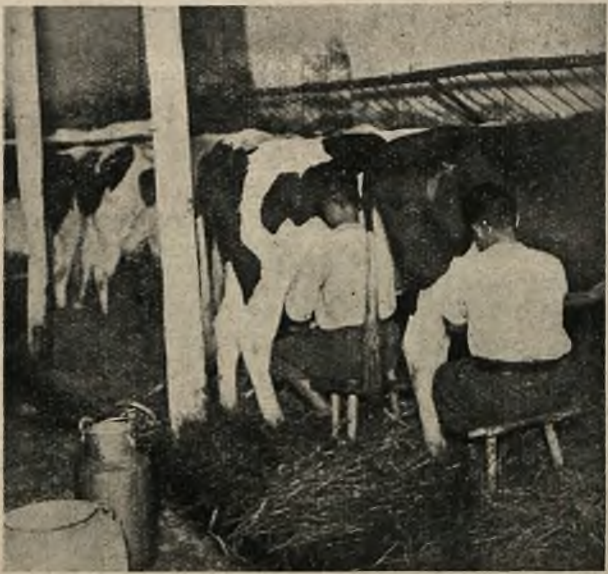
Aż raz późnym wieczorem, gdy wracaliśmy z wycieczki pomęczeni srodze, jednak z niby pieśnią: Ojojoj, ojojoj, — jak mnie nogi bolą — zbliżył się do nas p. prof. Maciurzyński, coś powiedział do pierwszych szeregów — powstało zamieszanie, krzyk „dobrze" i hurmem chłopcy pobiegli do refektarza. Tu prof. Maciurzyński podał nam parę szczegółów z teatru wojny — powiedział, że tworzą się Legjony, że mieć będziemy znowu Polskę wolną, naszą, własną.

Przyjęliśmy te wiadomości ze szczerą radością, z entuzjazmem. Chowano nas w Zakładzie w duchu nietylko katolickim, ale narodowo-polskim. Wszystkie nasze zabawy były raczej przysposobieniem wojskowem, były zaprawą do walki o Polskę. Pomnę pogawędki na temat Polski, po których na-

stępował zapał klejenia czak, strugania szabel, karabinów, by bić się z Moskalami. Nie była to dziecinada, zachcianka, ale prawdziwy zapał żołnierski.

— Zresztą i wpływ Zakładu na wieś niech świadczy, że chowano nas w Zakładzie na prawych, rozumnych Polaków. We wsi Miejsce Piastowe uroczystości 3 Maja i inne pamiątki narodowe obchodzone były nadzwyczaj okazale. Chowaliśmy się więc w atmosferze jaknajbardziej korzystnej. Nic więc dziwnego, że prof. M. porwał nas swemi wiadomościami, budził w nas entuzjazm i mimo zmęczenia uczyliśmy się w ów wieczór nowej pieśni, o polskim Orle i polskich Legjonach. Ze śpiewem rosły nam serca, budziła się wiara, że Polska będzie.

Żeby zobaczyć Legjony — wojsko polskie. Jak ono wygląda? Pewno zuchy. Mundury takie szklące jak za czasów Księstwa, a może gwardji „cesarskiej" szwoleżery odżyły?. — Żeby ich zobaczyć — marzyliśmy często.



Pawlikowice — U źródeł mleka.

Aż raz — w samą porę obiadową ktoś rzucił wieść: „Legjony idą". Jakby na komendę wszystko wstało od stołów i za moment tylko miski i łyżki w refektarzu zostały. Legjony idą". — Czarna masa, długi wąż posuwa się ku nam od strony Iwonicza. — Jak podejdą bliżej, śpiewamy, ale mocno — powiadają nam starsi. — Czekamy z niecierpliwością tych wymarzonych, błyszczących w słońcu, w przecudnych mundurach żołnierzy polskich.

O rozczarowanie...

Jak gościniec szeroki, dziarsko maszerują przyszli bohaterzy, lecz nie w mundurach jak na obrazku bitwy pod Grochowem... Ale w zwyczajnych ubraniach, bez karabinów, jeno z miną tęgą — szło wojsko polskie zdobywać wolną Polskę!

O jakąż przykrość odczuliśmy. Poniżenie. Inaczej przedstawiła się nam Polska, niż w pieśni była. Serce bolało. My w niewoli. Zrozumieliśmy wówczas, że naprzód Polska, a potem ładne mundury. I wtedyto w duszach naszych młodych zrodził się nowy Polak, codzienny Polak i wtedyto Polska w sercu naszem zmartwychwstała.

Te wojska, co ciągną wkoło nas, te armaty pochylone ku ziemi, ta dotychczas „kochana Austrja" i jej najjaśniejszy pan — to nasze wrogi, wrogi takie same jak Moskale, jak Prusacy.

Zrozumieliśmy naszej Ojczyzny los. Ci opyleni, nawet obdarci rekruci — te nasze Legjony powiedziały nam wszystko. I nie wiem dlaczego zapanowała wówczas pomiędzy nami cisza. Miast śpiewać milczeliśmy. Dopiero gdy ostatnie szeregi nas mijały, huknęła pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła..."

I odtąd inaczej patrzyliśmy na świat. Wzrok i słuch nasz biegł hen, — gdzie Komendant walił słupy graniczne, a na przełęczy legjonów dźwigano krzyż:

„Dla Ciebie Polsko i dla Twej chwały".

H. B.

C. d. n.

A jednak było to piękne...

4. Inaczej, gdy las był nieosiągalnem marzeniem, wystarczał nam park. Było tam też dość ptactwa i rozmaitych zakątków, chaszczy, gdzie się było można doskonale bawić. Komu nie wystarczało miejsca na ziemi, zadzierał nos w górę i upatrywał kryjówki w koronach drzew, albo w pękatych pniach starych lip pełnych dziupli. Z dziupli płoszyliśmy kawki, mieszkające tam od niepamięci. Ale nie każdy się odważył wleźć do dziupli, a nużby potem nie mógł wyleźć, albo gdyby go tam co ukąsiło? Szli tam tedy najodważniejsi. Zresztą, było jeszcze dużo innych ośrodków zainteresowania n. p. stawki. Jeden w parku samym, otoczony olbrzymiemi dębami i lipami, zawsze w cieniu i o ciemnej, choć czyściutkiej wodzie. Ten nas mało wabił. Drugi niżej parku — domena kaczek, gęsi i prosiaków — a trzeci całkiem nadole, przy rzeczce. Tam kąpaliśmy się często i prześladowali żaby w okolicznych łopuchach, albo leżąc, obserwowali lecące chmarami zakładowe gołębie na wiejskie pola. Gołębi tych gnieździło się pod czarną czapą dachu na domu mieszkalnym parę setek. A co to były za gołębie? Wiejscy parobczacy aż się oblizywali na myśl o nich, a w międzyczasie zastawiali na nie przeróżnego pomysłu sidła. Ale wszystko na nic. Nie dały się chwytać. Nietylko wszyst-

kie zawsze wracały, ale jeszcze sobie przyprowadzały ze wsi towarzyszów, lub towarzyszki. Były często spory z wiejskimi chłopakami i o szkody na polach. Wkońcu gołębiarnię zlikwidowano dla świętego spokoju, a nam wyprawiono którejś niedzieli z pieczonych gołąbków suty obiad. Połykaliśmy smaczne kąski, a niektórzy, namiętni gołębiarze i gorzkie łzy..

ciły wichry, a niektóre rozpłatały pioruny. Ale większość się trzyma jeszcze. I dobrze, że się trzyma, bo to pamiątka po przeszłych stuleciach, które się przewaliły nad parkiem, starym domem i jeszcze starszym lamusem.

O lamusie i parku, w latach po mem przyjściu do zakładu, krążyły dziwne opowieści. Podobno w obu miejscach straszy-



Pawlikowice — Frontem do ... koryta.

. . . .

5. Tym oczywiście temat parku nie został definitywnie wyczerpany. Zbyt dużo miłych wspomnień jest z nim związanych, aby tak jednym zamachem o nim skończyć. Ten stary park miałby co opowiadać, gdyby mógł. Przetrwał tyle zakładowych generacyj, a jaką musiał mieć przedtem przeszłość? Lecz obecnie jest już znacznie przetrzebiony. Dużo wiekowych drzew zamarło ze starości i chorób, wiele wywró-

lo. Wiadomo wszystkim, że stary dwór pawlikowicki był niegdyś, przed paruset laty, siedzibą Arjanów. Są podobno jakieś stare księgi, w których jest mowa o tem, że za króla Zygmunta III. i Władysława IV. Arjanów w Polsce prześladowano i zmuszeni byli się kryć. W Pawlikowicach była jedna z tych kryjówek, gdzie się zbierali nawet z dalekich stron na tajemne zebrania i swoje nabożeństwa. Nabożeństwa były odprawiane w tym starym lamu-

sie, który wonczas był arjańskim kościołem. Przy kościele i w parku był cmentarz. Zmarłych Arjan chowano w murowanych grobach pod ziemią, a że to byli przeważnie zamożni ludzie, to ich wkładano do pięknych, metalowych trumien. Każdy zmarły miał w ręce tabliczkę z napisem „Scio, cui credidi", co ma znaczyć „Wiem, komu uwierzyłem". Jak się trafił ubogi Arjanin i zmarł, grzebano go wprost w ziemi. W parku, pod ziemią, ma być podobno cały szereg takich grobowców, a nawet jakieś podziemia i piwnice... Gdzie to wszystko jest, nikt dzisiaj nie wie. My, malcy, robiliśmy nieraz poszukiwania na własną rękę, ale zawsze bez wyników. Bezpośrednio po takich poszukiwaniach strzegliśmy się zostać sami wieczorem w parku. Baliśmy się. Gdy który został przez zapomnienie, — to mu szczeciniaste włosy na głowie dębem stawały na samo wspomnienie arjańskich nieboszczyków i wiał naoślep w ciemnościach w stronę domu. Każdy napotkany w drodze krzaczek był mu okropnem widmem a zaczepiona nogą gałąź oślizgłą ręką umrzyka, chwytającego za nogę. Wpadał taki nieszczęśliwiec między nas blady ze strachu i długą chwilę nie był zdolnym słowa wyjąkać. Potem, jak mu się język rozwiązał, opowiadał takie rzeczy, że znowu nam z przerażenia oczy na wierzch wyłaziły... Nie trzeba wspominać, żeśmy w to wszystko święcie wierzyli.

M. Cz.

C. d. n.

Tajemnicza skrytka

A zaczęło się to w lutym 1936 r. W cichy zimowy wieczór zebraliśmy się w jednej z klas naszej szkoły rzemiosł. Zgromadziliśmy się wszyscy, nie brakło nawet panów czeladników. Klasa pełna, cisza wyjątkowa i poważne, nadzwyczaj miny, bo robota była konspiracyjna. W ten cichy, zimowy wieczór niedzielny pół setki ubogiej młodzieży położyło kamień węgielny pod gmach swego przyszłego majątku. Żywa dyskusja zabarwiła młode jagody chłopców, tajemniczość chwili, nadzieja pięknego jutra po obecnej sierocej doli. Statut został przyjęty. Cicho wpadały kartki wyborcze do urny, za katedrą usiadł prezes, obok niego sekretarz. Z sali rekreacyjnej dobiegał gwar zabawy reszty wychowanków. Stukały ping-pongowe rakiety, od nas zabawa była daleko. Myśmy tworzyli nadziejne jutro.

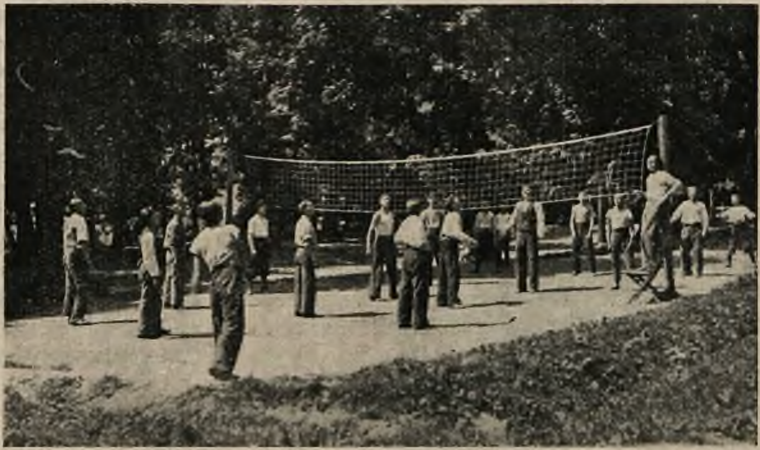
— Chłopcy, ale tajemnica?...

We wszystkich oczach świeciła odpowiedź, że nie zdradzą. Zależało mi na tem, gdyż bez zezwolenia ks. dyrektora nie mogłem na terenie zakładu podporządkowywać wychowanków pod normy nowego statutu. Z drugiej strony nie wiedziałem, czy mi się uda spisek na moich łobuzów, więc narazie wstrzymałem się z meldunkiem.

Za kilka dni zjawiły się spe-

cjalne instrukcje z P. K. O., a na korytarzu w skromnym kąciku zauważono mizerną skrytkę z napisem S. K. O. Wtajemniczeni powitali to z radością — reszta zaintrygowana zrobiła poważny rwetes. Po śniadaniu oglądano ciekawie tajemnicę. Byli tacy, co usiłowali ją zdjąć i zaglądnąć do środka, ale nasza straż czuwała. Ponieważ sprawa wzięła obrót urzędowy, poszedłem do ks. dyrektora po placet. Było to po pacierzach. Po wyjaśnieniu tej „podziemnej" roboty, ks. dyrektor z chęcią wyraził swą zgodę, owszem, naszą skromną skrytkę polecił otaczać wszystkim specjalną opieką. Tak to było u nas z założeniem u nas Szkolnej Kasy Oszczędności. Po uzyskaniu zgody u ks. Dyrektora zaczęliśmy pracę.

Nasza Szkolna Kasa oszczędności jest zupełnie nową i oryginalną. Normalnie w innych szkołach oszczędza się pieniądze, u nas regulamin nie pozwala wychowankom mieć pieniędzy ze względów zresztą zrozumiałych, cóż więc mogliśmy oszczędzać?... Przedmiotem oszczędności u nas są wszystkie przedmioty zużywalne. Podam przykład: Józek znalazł kawałek żelaza użytecznego i zaniósł do warsztatu. Tam okazał to członkowi Komisji Szacunkowej, aby on mógł to obejrzeć i ocenić i Józek pisze to na kartce i wrzuca do skrytki; gdy skrytka jest pełna, skarbnik w porozumieniu z opiekunem zwołuje Komisję Szacunkową, która spełnia swą funkcję. Jako opiekun S. K. O. mam prawo pochwalić członków, gdyż oszczędności płynęły szybko i najróżnorodniej. Podaję kilka przykładów: „Z rączki starego wiadra zrobiłem wieszak na ubranie, który okazał się lepszy niż z drzewa". To oceniono na 30 gr. Wielki stos tych kartek jest poprostu powieścią wytężenia młodych umysłów w kierunku



Pawlikowice — Mecz przy nowej siatce członków S. K. O.

oszczędzania. Oto jeden znalazł stal, inny zgasił światło, palące się niepotrzebnie, ktoś zamiast boraksu do spawania użył potłuczonego szkla, jeszcze inny odpędził psy zakładowe, które dostawszy się przypadkiem na wolność byłyby rozszarpały kobietę. A oto taka oszczędność: „Ks. Prefekt był na mnie zły, bo widział, gdym zbił 2 talerze. Rano spotkałem go na korytarzu, ale skryłem się, aby się nie denerwował, gdy mnie zobaczy i przypomni sobie stratę. Zaoszczędziłem nerwów przełożonego".

Z tych przykładów, których są setki można ocenić doniosłość propagowania oszczędności u młodych. Uważam, i, zdaje mi się, slusznie, że oszczędzanie grosza jest małą częścią oszczędności. Słowa „Wszystko należy oszczędzać". u nas staly się faktem dokonanym i wydały świetne rezultaty, a jeden z pierwszych to nauka stosowana w praktyce. Chlopiec nabiera szybkiej orjentacji i wprawy w stosowaniu zasad oszczędności. Przy każdym procesie używania czegokolwiek, można oszczędzać, gdy się tego pierwej nauczyło. Drugą kwestją naszej S. K. O. są zebrania, które u nas odgrywają znaczną rolę. Przedmiotem referatów, odczytów, są kwestje przeważnie dotyczące kwestyj gospodarczych, chociaż często bywają poruszane tematy z historji, literatury pięknej i t. d.

Jedną z naszych trosk był brak dziennika, ale tutaj wspomógł nas nadspodziewanie Kochany Ilustrowany Kurjer Codzienny, za co jesteśmy mu mocno zobowiązani i dziękujemy gorąco.

Chcielibyśmy, aby wszystkie zakłady nasze w podobnych warunkach żyjące poszły naszym śladem. Oszczędność mało jeszcze rozumiana przez nas, będzie doceniona w zupelności przez młodych, gdy ją na ich sercach zaszczepi się od wczesnych lat.

Oszczędności trzeba się uczyć, hasła nie wystarczają i obchód dorocznego „dnia oszczędności".

Chlopiec przyzwyczajony do oszczędności nie znosi widoku niszczenia mienia publicznego.

Bardzo dużo działa na tem polu P. K. O., przesyłając caly inwentarz do prowadzenia S. K. O., urządzając konkursy. Nasza S. K. O. nr. 664, stając do konkursu otrzymala 3 nagrodę: komplet do gry w siatkówkę i list z gratulacją. Ale mamy nadzieję, że na przyszly rok zdobędziemy nagrodę I-szą, bo przekonani jesteśmy, że propaganda P. K. O. oceni nietylko tych, którzy mają na książeczkach wkładkowych setki, ale i tych, którzy jeszcze ich nie mają, ale rozumieją oszczędność i stosują ją w życiu.

Obecnie wakacje, zebrania ustaly, tylko sieroca skrytka patrzy tajemniczo i czeka, rychło zacznie się rok szkolny, a uczniowie poczną ją odwiedzać, a z pewnością po wakacjach będą pracowali jeszcze silniej.

Wszystkim członkom S. K. O. czytającym „Nasze Życie" zasyla moc pozdrowień S. K. O. Nr. 664 przy Szkole Rzemiosł w Zakładzie wychowawczym w Pawlikowicach. Napiszcie coś o sobie. *Adam Wójtowicz*
Opiekun S. K. O.

„Mały imperetor"

Pogodny, skwarny dzień lipcowy. Dzwonek na obiad, wszyscy śpieszą do refektarza.

Pacierz mówi ks. Dyrektor, a tuż przy nim 5-letni „olbrzym". Ręce złożone do modlitwy. Oczy śmiałe, wyrażające pewność siebie, zapowiedź silnej woli w przyszłości, błądzą po całym refektarzu i na każdym z obecnych badawczo spoczywają, jak gdyby chciały przejrzeć jego duszę.

Po modlitwie siadają do stołu. Wszystkich zaciekawił nowy przybysz i jego dziwne zachowanie się. Nie płacze, nie wstydzi się, ani cienia strachu. Ciekawy chłopiec. Ks. Dyrektor sadza malca na krześle koło siebie, przysuwa talerz, nalewa zupę, daje łyżkę i zaprasza do jedzenia.

Bez cienia zmieszania zabiera się do jedzenia, ale niestety, brodą ledwie sięga krawędzi stołu i nic na talerzu nie widzi. Staje więc bezceremonjalnie na krześle. Trochę za wysoko. Klęka. W sam raz. Zajada aż miło.

Ks. Dyrektor obserwuje to, uśmiecha się dobrotliwie i objaśnia ks. Prefektowi, kogo to przyprowadził. Małego to nic nie obchodzi... je... nie slucha nawet. Zjadł, odsunął talerz, jak to widział u ks. Dyrektora i czeka na więcej...

Jeden z wychowanków zauważa: „widzisz, albo ostatni ciura, albo zuch malec! Oczy mądre, jak u uczonego".

— „Tak się jeszcze żaden z „nowych" nie zachowywał, nawet starszy" — dorzucił drugi.

— „Zwyczajnie beczy taki, aż się rozlega, albo jeśli starszy, to się gdzieś w kącie poślimaczy" zakończył trzeci.

Po obiedzie nowoprzybyły poszedł na „zwiedzanie" Zakładu. Cała gromada, trochę większych od niego, otoczyła go i poczęła zarzucać najrozmaitszemi pytaniami. Mało co odpowiada, a tylko oczy szeroko otwarte — badawczo oglądają dom jeden, — drugi, — nawet stajnię i stodołę.

Przyszli wkońcu do parku. Widocznie doszedł „nowy znawca" do przekonania, że jakoś się



Pawlikowice — I wstajni porządek być musi.

tu da żyć, bo zaczął rozmawiać z malcami i wkrótce już był z nimi zapanbrat. Nawet w „piłkę nożną“ zagrał.

Piłkę taką warto widzieć!!! Wspaniały fotbal! Kilka szmat, związanych szpagatem. Nawet nie musi być okrągła. Nasz „mały ludek“ nie zważa na te drobnostki. Nie ma czasu na to. Wszyscy gonią jedną gromadą, kopią, krzyczą tak, że zapominają o wszystkiem. Wtedy tylko oni istnieją i piłka. Do tego się cały świat ogranicza.

Napróżno silił byś się, by rozpoznać graczy przeciwnych sobie partyj. Wszystko skłębione razem, fika, przewraca się, podnosi i dalej goni. To ci gra! A po skończonych „zawodach“ brać idzie do pracy. Nikt tam nie kuleje, nikt nie uległ „kontuzji“, bo wszystko szło na bosaka...

* * *

Jednego dnia przed kolacją miły nasz pupilek — zwał się „Józkiem“, wali do kuchni. Drzwi otwiera szeroko i rozkazującym głosem woła: „Siostro proszę o kolację“! Ale Siostra zajęta kuchnią nie zwraca nawet uwagi na malca. Ten stoi chwilę i obserwuje. Widzi, że w ten sposób nic nie wskóra.

W jednej chwili znalazł się przy Siostrze, chwycił za rękę, całuje i przymilnie prosi: „Siostruniu“! tak mi się chce jeść! Tem zupełnie rozbroił serce spracowanej Siostry. — „Poczekaj chwileczkę, zaraz ci dam! — i pogładziła go po rozczochranej czuprynce.

Za chwilę już nasz mały zajada kromkę chleba z masłem i popija mlekiem. Wielu zazdrościło mu pomysłowości i zaradności w tych rzeczach.

Nadszedł czas dojrzewania owoców: rozkosznych jabłek i ciemno-fioletowych śliw. Wtedy Józek był panem „na całą gębę“. Używał co się zowie. Srodzy dla innych stróże owoców, dla niego byli uległymi jak baranki. Dawał sobie z nimi radę. Koziołki wywracał, nogami wywijał, machał rękami i za to dostawał owoce

Obrywano jablka i znoszono do piwnicy. Józek już tam przy okienku jest. „Proszę o jedno jabłuszko, o to maleńkie czerwone i tamto takie żółciutkie, tylko dwa!“... takie maleńkie. Dostal. Odszedł, zjadł, a za chwilkę już jest i znowu ta sama historja. Dostał i tym razem kilka z tem, żeby tu już więcej nie przychodził. „Dobrze, dobrze“! — usłyszano i popędził gdzieś znowu.

Po jakimś czasie puka ktoś do drzwi, choć otwarte były.

— Kto tam?!

— Ja, Józek!

— Czego jeszcze chcesz?! Przecież ci mówiłem, żebyś tu już więcej nie przychodził! Powiedziałeś sam, że nie przyjdziesz!

— Powiedziałem, że nie przyjdę do okienka, a teraz proszę tu!

— A niechże cię kaczęta pokopią! Dajcież mu jeszcze kilka jabłek! Umie sobie malec radzić, niema co!

* * *

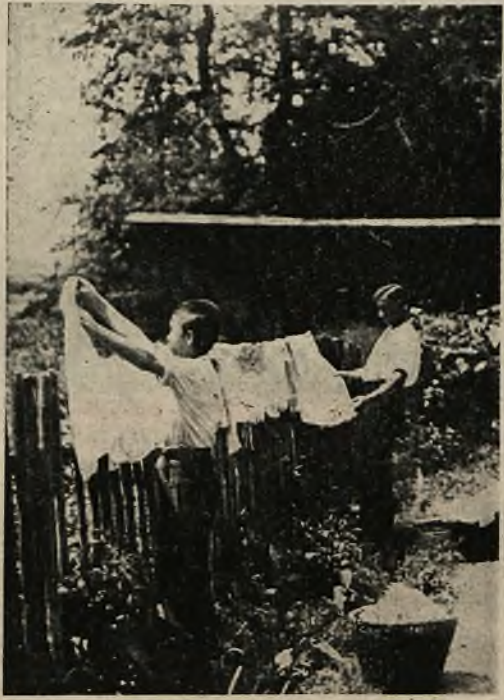
Najmniejsi strugają ziemniaki. Wchodzi Józek; mina tęga.

— Malcy, wiecie co! krzyknął od drzwi — mam nad wami uważać, bo tak kazał „Braci-

szek"! Mam tu rozkazywać, a wy słuchać! Zrozumiano?! Czy nie?!

Dziwnie władczo brzmiał głos i postawa u tego najmniejszego z najmniejszych, że ci się wszyscy zaśmiali. Ale to nie zbiło go z tropu, „wódz" mały nie cofał się przed przeszkodami nic nie potrafi, a chce rządzić nami i puszy się aż hej! — dorzuca drugi. Inny, zjadliwszej natury wrzasnął: Idź do kuchni garnuszki wylizywać!

Na tem by się jeszcze dowcipkowanie nie skończyło, gdyby tego nie było już za wiele „na-



Pawlikowice — Bieliźniarze.

mi, łamiąc je, albo, w ostatecznym razie, omijając. I teraz ze swej pozy imperatorskiej nic nie zmienił, tylko jeszcze bardziej spoważniał i słuchał, co „kartoflarze" mówią. Pierwszy z brzegu krzyknął: „Widzicie korka, butelki by nim nie zatkał, a ten chce nam rozkazywać! — „Myć się nie umie, wody się boi, łóżka nie zaściele, szemu imperatorowi. Słuchał początkowo, co pierwszy mówił, później twarz mu się nerwowo ściągnęła, a w oczach zabłysły błyskawice gniewu, tak, że malcy odrazu przycichli. Doskoczył do pierwszego z brzegu i począł go małemi piąstkami „sztorcować", krzycząc i płacząc ze złości. Tymczasem odważny Władzio, choć szczupły

i nie największy, porwał go za bary i wypchnął za drzwi.

Teraz rozegrała się w duszy malca tragedja. Nieuznany, wyśmiany i za drzwi wyrzucony. Odczuł to bardzo! Nie płakał! Zobaczył najpierw gdzie jest „Braciszek".

Brat był koło domu. Skoro go ujrzał, cofnął się na korytarz i w krzyk, aż szyby dźwięczały. Brat pędzi co tchu, myśląc, że może który niecnota palec sobie nożem „rozjechał". A może co gorszego. Wpada na korytarz, a to Józek wrzeszczy. — „Co ci jest?! woła. — Malcy mię zbili! odpowiada płaczliwie.

Hajda do malców z malcem! Cała historja wnet się wyświetliła. Braciszek ułagodził jednych i drugich. Zastanowił go jednak nieudany figiel Józka. Znał go skądinąd. W kilkunastoletniej pracy wychowawczej miał możność poznać różne typki, ale takiego nie spotkał. Pokiwał głową i rzekł: „Z ciebie albo będzie wielkie coś, albo większe nic i prędko skończysz"!

* * *

Był dzień świąteczny. Nasz Braciszek lustrował swoją gromadkę w sypialni. Temu kazał porządniej ubranie wyczyścić, temu buciki, tamtemu myć się powtórnie, innemu koszulinę pozapinać. Poleca też jednemu ze starszych, aby Józka wymył porządnie. Za chwilę przeraźliwy krzyk doszedł go z umywalni. Chyba znów Józek, myśli sobie i pędzi tam. — Czemu płaczesz tak, Józiu?! — „A, bo on mię chce myć", odpowiada z płaczem. — No to cóż z tego! Odrazu musisz tak się wydzierać!? — „Ja nie chcę, żeby on mię mył"! — „No, to cię inny umyje"! — „Nie chcę, ja się sam umyję"! — To i lepiej! Myj się więc! Myje się, ale jak! Zwilżył ręce, potarł buzię i już obmyty. Skaranie Boskie z takim dzieciakiem.

Brat zakasał rękawy i sam się zabrał do roboty. — „Chodź, Józiu! ja zrobię z ciebie wielkiego człowieka, wszyscy będą cię słuchać i bać się, ale najprzód muszę cię porządnie wymyć, abyś jakoś wyglądał. Równocześnie myje malca do połowy, a ten się tak cichutko zachowuje, jak by nie był Józkiem.

Zadowolony, jaśniejący, wchodzi do sypialni. Patrzy — jego łóżko ściele jakiś chłopiec. Skoczył, odepchnął: „ja sobie sam pościelę"! — „Dajcie mu spokój, niech ściele"! ułagodził Braciszek.

Józek zabiera się do tego z całą powagą. Obszedł łóżko dokoła, obejrzał, ściągnął poduszkę, koce i prześcieradło. To ostatnie strzepuje, jak może i rozpościera na sienniku. A że był zamały, więc naprzód jeden róg naciągnął odpowiednio, potem drugi, trzeci i czwarty. Popatrzył — „fajno jest"! Bierze się do koca — ta sama historja. Z drugim kocem było gorzej, bo co pociągnął za róg wierzchniego, to się spodni posunął i porobiły się garby. Naciąga równa, a inni czyszcząc się, patrzą na pociesznego malca i śmieją się pocichu. Skończył z kocami, ale siennik nierówny! Próbuje go wyrównać rękami — nieda rady nie dostanie!

Gramoli się na łóżko i wio nogami deptać i równać. Jakoś mu to nie idzie. Patrzy na inne — takie równiutkie, a jego pogmatwane. Już go i złość brała, i na płacz się zbierało, gdy wtem jakaś nowa myśl mu zabłysła. Aż się uśmiechnął do siebie z zadowolenia.

Jak stał, momentalnie siada i znów się podnosi i siada. Reszta malców wytrzymać już nie mogła i gruchnęła śmiechem. Braciszek był na korytarzu. Wpada do sypialni i krzyczy: „Spokój"!!!. Patrzy, wszystkich oczy zwrócone na Józka, a ten ubija łóżko i nic go poza tem nie obchodzi. I Braciszek nie wytrzymał i srogą minę zastąpił uśmiechem.



Pawlikowice — Okopywanie buraków.

Wreszcie mały wyrównał więcej łóżko, z miną triumfatora zszedł z niego i zabrał się do czyszczenia ubrania...

Taki to był Józek-przekora, imperator mały...

W. P.

Kawał nie kawał

W refektarzu zakładowym gwar. Kończysię wieczerza. Ten i ów jeszcze szuka dna w „numerze", ale większość zajęta omawianiem wypadków dnia minionego. Nagle przy jednym stole uciszają się i głowy i z zaciekawieniem zwracają się w stronę głównego asystenta. Ten poważnie wyrokuje: Staszek N. i Jasiek P. pójdą za las do stróżowania koniczyny. Tylko dobrze się pilnujcie, bo złodzieje nie śpią.

I znów gwar wszczął się zdwojony, tylko miny wybrańców dziwnie spoważniały, chyba w poczuciu przyjętego obowiązku.

....Godzina dziesiąta. W Zakładzie cisza zupełna. W sypialniach chrapanie w zawody, a na korytarzu tylko zegar weteran swoje ciągłe tik tak wygaduje. Domy już pozamykane, a stróże domowi obchodzą jeszcze zabudowania i sprawdzają czy wszystko w porządku.

Pewnie czytelnik ciekawy co oni zacz? Ja też. Ale uwaga, wchodzą wkrąg światła lampy narożnej. Już ich widać: Wojtek i Szymek. Ale ich dobrali. Cyt. „Szymek coś mówi".

— Wojtek, tu wszystko w porządku, możemy się przejść za las i tamtych safandułów trochę nastraszymy.

— Fajno Szymuś. „Tu psy same dopilnują. Chodźmy".

....Za lasem w kopie koniczyny wyleguje się Jasiek, ale Stach nadsłuchuje badawczo. Jakieś podejrzane szelesty... Cisza... E, to nic.

— Ta siądź se Stachu spokojnie! Złodziej też nie głupi, żeby w jasną noc przychodził kraść. Zresztą wiedzą, że my tu pilnujemy. Lagi są, nie bój się brachu!

Ale Stach już nie dosłyszał ostatnich słów, bo doleciały go jakieś dziwne odgłosy ze strony lasu. Coś jakby śpiewanie czy coś.... Jaśka też na równe nogi poderwało i począł się za kijem oglądać.

— Co to, słyszysz?

— A czy ja wiem...

Odgłosy zbliżały się i poznać było można wyraźnie wrzaski pijackie. Nagle wrzask zmienił się w bijatykę. Sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze. Jedna z nich gwałtownie zbliżała się wdół. Ucieka — przebiegło po głowie Stacha. Uciekający przewrócił się, co drugiego tak rozczuliło, że go podniósł i czule przepraszał.

Wtem do uszu stróżów przy sianie doleciał ochrypły głos: Po co my się pierzemy, tam na dole zakładowcy koniczynę pilnują, wio na nich". I nagle obaj całym pędem ruszyli wdół.

Staszkowi w oczach pociemniało. Przypomniał sobie o sękaczu i ogląda się za Jaśkiem, ale ten już powoli bokiem w stronę Zakładu zmyka. W Stachu obudził się lew. Sam stawi czoła. Stanął szeroko i dalejże wymachiwać krzyżową sztuką. Niczem Zagłoba między małpami. Ale otoczony z dwóch stron szlachetnie „zrejterował" i zajęczemi susami popędził za zwiewającym Jaśkiem.

Pijacy w pogoń, ale przestrzeń między nimi zwiększała się coraz bardziej. Stanęli więc i zwycięskimi okrzykami miażdżyli jeszcze wroga. Na skraju lasu Jasiek odzyskał odwagę i zaczął psioczyć na pijaków: Czekajcie łotry, zbóje, pijanice, my wam jeszcze pokażemy! I zniknęli na zakręcie drogi wiodącej do Zakładu.

Tymczasem rzekome pijaki pokładały się od śmiechu.

— Za Jaśkiem to się ino kurzyło. Ten ci bracie ma biegi.

— Ale wracajmy do domu prędko, oni tam pewno po nas poszli.

...Na podwórku zakładowem bieganina i krzyki; Zagraj, Mi-

siek, Hektor, do nogi! Zagraj, Zagraj!...

— Psy się wnet znalazły. Stachu, ale stróża nie widać. Teraz ich poszukać...

— Na licho się nam zdadzą. Z psami damy sobie radę sami. Chodź!

— Ale jabym ich radził poszukać — Jasiek się upierał.

— No to szukaj jak chcesz!

Nagle psy się zaniepokoiły i popędziły w stronę domu warsztatowego. Staszek popędził i wnet przywołał Jaśka. Stróże się znaleźli.

— Wiecie co, zaczął Jasiek, za las przyszli do koniczyny jacyś pijacy, trzeba ich napędzić!

— Co? naprawdę — podchwycił Szymek (który zdążył przybiec).

— No tak, rzeczywiście, przytwierdził Stach.

— To my ich już nauczymy rozumu, wykrzyknął Wojtek z taką energją, że Jaśkowi otucha w serce wstąpiła.

— No rozumie się. — Grał bohatera Jasiek.

Ale inna rzecz, jak my z psami pójdziemy za las, to tu znów mogą złodzieje zawitać. My z Wojtkiem musimy zostać, a wy bierzcie psy i biegiem za las, bo kto wie ile już tam złodzieje nakradli...

Argument był dostateczny. Staszek z Jaśkiem popędzili za las, a psy za niemi. Ale poszukiwania ich były daremne. Całą noc nieboraki nie zmrużyli oka.

A na ławce pod grabami zwierzał się Szymek: wisz co, Wojtuś, aleśmy ich nastraszyli. To ci będzie wesele, jak to jutro kolegom opowiemy.

— Wiara będzie ryczeć, a jakie będą miny „koniczaków“ już ja sobie wyobrażam...

— Szkoda gadać, bracie.

A. W.



KRONIKA
ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Pawlikowice.

„...Praca narody wzbogaca...“

I nasz Zakład utrzymuje się w większej części tylko z własnej pracy i to pracy wytężonej.

Nikt się u nas nie wstydzi twardej, spracowanej ręki, lub zbrudzonego, używanego do pracy, ubrania. Każdy z nas, mały czy duży, pomnąc na zasady naszego Ojca Założyciela Ks. Br. Markiewicza, z uśmiechem i zapałem bierze się do wszelakiego rodzaju pracy. Trzeba zaś przyznać, że u nas w Zakładzie jest ta praca w różnych odcieniach. Są i ślusarze, stolarze, szewcy, krawcy, introligatorzy, piekarze, ogrodnicy, popularni „świniarze“, „gęsiarze“, ministrowie robót i porządków publ.“ itd. itd.

Niktby nie poznał w dziarskim np. oraczu, w zuchu, wyrzucającym nawóz ze stajni lub obory, — trzecio lub czwarto klasistę, który doskonale jest obznajmiony i z „Owidjuszem“ i „Postępami arytm.“ — Stop! — źle mówię, że... „niktyby nie poznał...“ — Właśnie przeciwnie. Po jasnem otwartem i pełnem jakiegoś wewnętrznego ognia spojrzeniu, można zauważyć, ze pracuje się dla idei, z tą myślą, że każda praca, człowieka uszlachetnia... nigdy nie poniża. Tak więc nasi młodzi studenci spędzają wakacje pożytecznie i przyjemnie. Przyjemnie?... Ależ tak, boć jak już wspomniałem, każdy z nas idzie z przyjemnością do pracy. Do przyjemnego spędzania tego miesiąca przyczynił się niemało „Wielki Festyn“, urządzony w naszym parku w dniu 12-go z. m. Czegóż tam nie było... Był i Negus-orator, Żyd-dowcipujący, Meksykanin, szablą brzęczący, loterja fantowa, koło szczęścia, „wędka“; można było nawet i strzelać — jednak nie z kija, ani z papierowej torby — tylko z prawdziwej wiatrówki itd. itd. Do miłego spędzenia czasu na festynie przyczyniła się w znacznej mierze nasza orkiestra, która po niedawnem skompletowaniu, coraz lepiej gra. Mili czytelnicy niech tylko spojrzą i przyjrzą się bliżej naszym „dmuchajblachom“, na fotografji, a niewątpliwie odczytają z ich twarzy, że to nie zwyczajni grajkowie, lecz w przyszłości może Chopin'y, Moniuszkowie, Paderewscy...

Jedyna maleńka chmurka przyćmiła jasność festynu — otóż nasza drużyna footbalowa przegrała z „Sokołem“ z Wieliczki w stosunku 3 : 4. Coprawda stosunek mały — a przytem nasz sławetny bramkarz tłomaczy jak może, że to i sędzia był stronniczy, że jedna bramka była samobójcza itd. Jednak to nie zmienia postaci rzeczy, faktem jest, że „Victoria“ zakładowa przegrała. No trudno. Mógł Napoleon przegrać bitwę pod Aspern, a zwyciężyć pod Wagram, mogła i nasza „Victoria“ pozwolić sobie na taki żarcik — należy teraz tylko tak jak Napoleon pod Wagram, zwyciężyć...

15. bm wyruszyli „nasze kosyniery“ w pole, nie bitewnie, jak pod Racławicami, tylko — w łany zboża. Maszyną nie można u nas kosić z powodu trudności terenowych — więc kosiarze, a zwłaszcza senior Michał, ze swoją przyzwoitą tuszą uczciwie się pocą.

W tym miesiącu spotkał naszą drużynę harcerzy nielada zaszczyt. Witała mianowicie, jako drużyna reprezentacyjna hufca wielickiego, na czele z dhem H. C. Korpalem i dhem druż. H. O. F. Sobczakiem wycieczkę polskich harcerzy z Ameryki. Musieli się tam nasi dobrze spisać — skoro miał ich ponoć pochwalić dh. harcm Kowalski z Głównej Kwatery Harc. z Warszawy.

Teraz nowość. Jaka? Byłem w przejeździe do Iwonicza i w Miejscu Piastowem i muszę niestety odrazu swemu koledze po fachu, czyli kronikarzowi z M. P. czynić wyrzuty. Zacny kolego, toż tam u Was życie aż wre i kipi. Wszak i u Was jak zdołałem zauważyć jest morowa brać harcerska, a „Pogoń“ ze swoim „sezonowym Kapitanem“ pokornym Jaśkiem, zaczyna się ruszać na dobre.

O tem w N. Ż. ani słychu — dychu??

Ja osobiście widziałem waszych zuchów, (bardzo kochanych chłopaczków), zauważyłem, jak oni pracują — i nawet potrafią przechodnia zachęcić, wołając ze szczerym radosnym uśmiechem... „a proszę nam pomóc". Jednak nie wszyscy mają to szczęście jak ja, oglądać naocznie to Wasze życie — więc pisz o niem, kochany kolego, jaknajwięcej.

Kronikarz.

Berteszów.

Czarna rozpacz mnie już chwyta, bo co napiszę kronikę, albo jakiś „wertykół" to stale albo zapóźno wysłany albo nieprawomyślny, albo nie mający nic wspólnego z nowo ogłoszonym kodeksem ortograficznym. Z pewnością, bo jeśli ja kształcony na ś. p. c. k. austryjackich wzorach to i artykuł nie śmie być innym. Tak powinno być. Żart żartem, ale ja papieru darmo nie dostaję i nigdy nie zobowiązywałem się opalać redakcyjnych pieców. Sprawa pachnie... ławką sądową.

No, ale zaczynam, bo do odważnych świat należy.

Chyba nigdzie na świecie lipiec nie jest taki piękny, uroczy, jak w Berteszowie. Jak okiem sięgnąć łany szumiące, niby wezbrane fale górskich rzek obijają się o brzegi miedz. Złociste łany pszeniczne igrają gorącemi kolorami ze srebrem żyta i soczystą zielenią łąk, po których spacerują zamyślone boćki.

Dostatne żyta jeno czekają na sierp. W sadzie ruch niezwykły, bo chłopcy obierają czereśnie, które w tym roku obrodziły niezwykle. A koło południa staw roi się od opalonych pływaków. Najwięcej to już siedzą w stawie lwowiaki „tajojki", którzy chcieliby chwilami wszystką wodę wypić. Nic dziwnego, przez cały rok siedzą w czterech ścianach zakładu lwowskiego.

5 lipca wstajemy o 4-tej rano, by jak najspieszniej zjeść „koks" z masłem i zdążyć na 8-mą do Wybranówki (12 km. od Berteszowa). Ludność polska zbudowała kościółek, który ma być dziś poświęcony. Jedziemy przez Dziewiętnickie lasy. Przejeżdżamy przez rzekę dość wezbraną, a tu niema mostu. Rzucono jakieś długie belki 3—4 m. ponad poziom wody. Stop! co robić. Fury w dogodniejszem miejscu z biedą przejechały na drugi brzeg, a nasza mała brać po belkach przeczołgała się na drugą stronę. Naprawdę szczęście, że nikt nie zrobił „salto mortale". W każdym razie zdążyliśmy na 8-mą godzinę. Tam już ustawione są liczne organizacje jak: Sokół z Bóbrki i Hodorowa, banderja przypominająca oddział huzarji z XVIII wieku, harcerze, harcerki, rezerwa, strzelec, no i nasi mali sokolęta, oraz lwowięta. Nie chwalący się, ale też nie zapierający, najbardziej przedstawiały się nasze drużyny ze sztandarem, dziarskie, zgrane ze śpiewem jak na zakładowców przystało.

Olbrzymie tłumy wiernych (choć nie brakło i wybranych) zaległy drogę od stacji do kościółka. Po chwili dźwięki orkiestry „Boże coś Polskę"



Widok Berteszowa

dały znać, że nadjeżdża Dostojny gość Ks. Metropolita Arcybiskup Twardowski. Po uroczystem powitaniu Arcypasterza i reprezentanta władz administracyjnych, p. starosty Bobreckiego odbyło się poświęcenie pięknego, miłego kościółka. W serdecznych słowach podziękował zebranemu ludowi za ofiarność i poświęcenie, Ks. Arcybiskup, wskazując na wielką rolę, jaką odegrał kościół rzymsko-katolicki tu na kresach, gdzie łacinnik znaczy Polak. I gdyby nie kościół katolicki, to tu panowałoby prawosławie i miast krzyża widniałaby czerwona gwiazda pięcioramienna. Ze wzruszeniem wysłuchali zgromadzeni gorących słów. Uroczystą Mszę św. odprawił Ks. Dyrektor Andrzej Andreasik coram Episcopo. Defilada wypadła nad wyraz imponująco. Piękna uroczystość spoiła nas, kresowców jeszcze jednem ogniwem i dodała sił i chęci do dalszej pracy nad budową Polski katolickiej, potężnej. Czas przed żniwami wykorzystujemy na wycieczki i prace społeczno-kulturalne.

12 lipca znowu gremjalnie oba Zakłady w liczbie 50 wybrały się do Bakowiec. „Myśmy przyszłością narodu, pierś nasza pełną jest sił, dążmy do potęgi kresowych grodów, naprzód lecz nigdy wtył", rozbrzmiewa wśród starych kurnych budynków wiejskich. Co kawałek widać gromadki „wyszywanych" koszul patrzących „spodełba". „Do góry podnieśmy głowy, nie znajmy co trud polskiej ojczystej nam mowy, nie wydrze żaden wróg".

Po chwili rozbrzmiewają natchnione tony psalmów. Oddawszy co jest boskiego Bogu, maszerujemy na gromadzki ugór, gdzie już rozbijają się za piłką Rusini. Na oddzielnym kawałku stajemy i rozpoczyna się gra. Po pewnym czasie chwytają naszą piłkę Rusini i kopią złośliwie w przeciwnym kierunku, ani myśląc nam oddawać. Dobrze! Chłopcy! nie iść po piłkę! Stajemy spokojnie jak przystało na ludzi wyższych kulturą i chwilę czekamy. Zbiórka! Wracamy — a oni oddadzą 5 takich piłek". Jak nie pyszni, widząc naszą honorową postawę, oddają piłkę. Tymczasem formujemy się i śpiewamy trzygłosowo: „Myśmy przyszłością narodu", „Hej do apelu wstańmy wraz", „Pośród wichrów i zamieci huku dział i świstu kul, bronić Lwowa polskie dzieci... nie oddamy polskiej chaty choćby przyszło trupem paść".

Sem-Set.

Kraków.

Z początkiem lipca Zakład Józefitów rozszczepił się na dwie partje: krakowską i tyniecką. — Stąd i kronika tegoż powinna być dwoista.

Hallo! tu mówi Kraków! Kronika krakowska na lipiec jest bardzo uboga i nie przynosi żadnych ciekawości. — Bo i któż został w Krakowie? Paru zaledwie terminatorów, a całe życie wyfrunęło do Tyńca.

Tam słońce, tu ciemno zasępione chmury, na które czasem zaledwie pendzel jakiejś nadzwyczajnej podnięty rzuci parę jaśniejszych smug.

Zaznaczam więc z góry, że nic ciekawego nie stało się w Krakowie (mając na myśli objekt zakładowy). Tam, w Tyńcu. muszą być ciekawsze rzeczy. Wisła szemrze, skalne bloki zamczyska jej wtórują, słońce wysyła swoje najczulsze tchnienia, a gromada figlarnie rozbawionych „raków" rzuca się...

Stop! zapuściłeś się bratku w nie swój teren — wstrzymuje mnie zasępiony wzrok krakowskiego podwórka — Tu także jest wesoło — mówi. Nie chcąc się sprzeczać, nie oponuję wprost; w duszy jednak myślę, że tak nie jest. Wyjdzie wprawdzie wieczorem paru ogrodników i rzemieślników i grają w siatkówkę, ale Boże zlituj się, co to za gra. — Piłka chodzi jak pijana i rzadko kiedy pada na właściwe miejsce, gdyż gracze w impecie (przeważnie nowicjusze w tej branży) wysyłają ją hen daleko poza granice boiska. — Zrobią parę ruchów fascynujących, wykonają kilka drygów komicznych, no, i na tem koniec.

Czasem także ktoś z przejeżdżających wpadnie w odwiedziny z konieczności, ale w tem również nic nowego.

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materjały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr.

Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.